

Chińskie więzienia nie mają ścian – 11

28 lipca 2009

W ruchliwym centrum Xi'an, przy jednej z ulic, obstawionych straganami z ozdobnymi papierowymi zwojami, pokrytymi trudnym do odczytania pismem, znajduje się najcięższa na świecie kolekcja tekstów. Ciężar jest i gatunkowy i materialny, bo dzieła chińskich filozofów, między innymi Konfucjusza, relacje historyczne czy literatura klasyczna nie zostały wypisane na papierze, a wykute w kamiennych płytach.

Muzeum to nosi nazwę Lasu Steli, Beilin, całkiem zasłużoną, bo steli jest tam około 2300. Są one kamiennymi tablicami, pokrytymi ideogramami, z których każdy wtłoczony jest w kwadrat, z którego nie ma prawa wychylić ani kreski. Ideogramy różnią się od siebie stylem i można pomiędzy nimi znaleźć kształty współczesnych czcionek. Jest też wśród nich stela jednej z najwcześniejszych sekt chrześcijańskich, sekty Nestorian z końca pierwszego wieku. Niektóre stele są ustawione na grzbietach żółwi, symboli długowieczności, które nie wiedzieć czemu przewrotnie się uśmiechają, zadzierając szpiczaste nosy. Stele umieszczone na zewnątrz czasem zapadają się i ten zadarty nos bywa jedyną, widoczną spod ziemi częścią żółwia. Kilka godzin, spędzonych wśród kamiennych tablic, zapisanych archaiczną chińszczyzną, może się wydawać marną rozrywką, gdyby nie świadomość ludzkich myśli i doświadczeń, które złożyły się na ich powstanie oraz chęci zachowania tychże w materiale trwalszym niż ludzka pamięć. Kreski ideogramów przenikały się płynnie, jakby były namalowane miękkim pędzlem, a nie ręcznie wykute w opornym kamieniu setki lat temu przez kogoś, po kim nie ma już śladu innego, niż ta kamienna tablica.

*

Wsiadłyśmy do autobusu wraz ze zbieraniną turystów z różnych hoteli, zastanawiając się, ile pułapek na turystów zaliczymy

po drodze. Była jedna, mała fabryczka, w której produkowano ceramikę, a głównie figurki wojowników i koni o typowo „chińskich” kształtach, czyli o masywnych zadach i krótkich nogach. Wszelkie moje chęci kupienia czegokolwiek rozбивały się zawsze o barierę nie do przejścia, czyli limit bagażowy linii lotniczych. Nabycie jakichkolwiek pamiątek – nie dających się skompresować do formatu JPG – nie wchodziło w grę.

Terakotowa Armia znajduje się niedaleko Xi'an, w jednej z najbardziej zadbanej wiosek w Chinach, jaka zapewne przed odkryciem turystycznej kopalni złota – była zaledwie małą, biedną wioską bez kanalizacji, której zachodni turysta oglądać nie powinien. Wszystko miało się zmienić w 1974 roku, kiedy to dwóch wieśniaków postanowiło wykopać studnię i zamiast do wody, dokopało się do złoża mało praktycznej ceramiki. Teraz żołnierzy można oglądać w kilku hangarach, ustawionych w rzędach, pozbawionych kolorów, trzymających nieistniejącą już broń. Zaraz po wydobyciu na powierzchnię, archeolodzy zobaczyli jaskrawe kolory figur, upodabniające je do żywych ludzi.

Pigmenty wyblakły niedługo potem, na skutek działania powietrza i świat przyzwyczał się do szarości wojowników. Stałyśmy ponad nimi, na galerii otaczającej pułki żołnierzy. Wydawali się bezbronni i wycieńczeni, może przez tę szarość, może przez brak oręża, którego nawet nie byli świadomi. Jeśli prawdą jest, iż twarze figur wzorowano na twarzach robotników, pracujących przy budowie armii, to patrzenie w twarze wojowników jest jak oglądanie zdjęć ludzi sprzed dwóch tysięcy lat. Niektórzy mieli popękane korpusy lub obłamane kończyny i zostali odstawieni na bok. Byli niscy, jak to Chińczycy, może nawet niżsi, niż współcześni ludzie. Konie sięgały im kłębami nieco poniżej pach. Konie, na których uczyłam się jeździć, były w kłębie wyższe ode mnie. Te, które stały przede mną, jakoby naturalnej wielkości, były więc niesamowicie małe. Stały spokojnie, z otwartymi pyskami, jakby zawadzały im

niewidzialne wędzidła.

Ogólnonarodowe stawanie na głowie przed Olimpiadą 2008 ma zmienić wizerunek terakotowych wojowników na bardziej kolorowy. Możliwe też, że rząd sfinansuje wydobycie pozostałych żołnierzy.

Historia powstania Terakotowej Armii przypomina nieco budowę piramid. Choć i skala i materiał były zupełnie inne, podobnie jak grobowce faraonów, grobowiec cesarza Qin Shi Huanga zaczęto stawiać jeszcze za jego życia, tuż po objęciu przez niego tronu w wieku trzynastu lat. Siedemset tysięcy robotników, bynajmniej nie z własnej woli, pracowało nad budową grobowca, by po śmierci cesarza w 209 roku przed Chrystusem zostać pogrzebanymi w jego wnętrzu wraz z monarchą i jego bezdzietnymi konkubinami. Główna komnata, gdzie ma spoczywać cesarz i jego skarby, wciąż pozostaje Świętym Graalem archeologów, bo też nikt nie wie, gdzie się ona znajduje. Starożytni władcy wiedzieli, jak zabezpieczać się przed złodziejami i często kazali usypywać fałszywe kurhany, lokując właściwy grobowiec w mniej oczywistym miejscu. Terakotowa Armia miała strzec grobowca i odstraszać rabusiów, ale dzisiaj zamiast odstraszać – zachęca do poszukiwań, bo stanowi wskazówkę, że gdzieś pod ziemią jest coś jeszcze bardziej wartego zachodu, do czego Armia jest zaledwie dodatkiem.

Kim właściwie był cesarz Qin Shi Huang? Czy jest znany z czegoś innego, niż tylko udratyzowanie historii garncarstwa? Trzydziestoosmioletni cesarz po raz pierwszy w historii miał już na koncie poważne osiągnięcie zjednoczenia Chin, podbijając sześć sąsiednich państw. W kraju, gdzie do dzisiaj każde miasto ma swój dialekt, zjednoczenie pociągało za sobą standaryzację pisma i miar. Qin Shi Huang zapoczątkował również budowę fortyfikacji obronnej, przypominającej Wielki Mur.

Przedsięwzięcia cesarza pochłoneły wiele ofiar, ale też przyniosły państwu niemało korzyści. Pewnie był on jednym z

tych władców, po których śmierci naród oddycha z ulgą, a jednocześnie obgryza paznokcie, myśląc: „Co teraz będzie?”.

CIĄG DALSZY NIE NASTĄPIŁ

Autor: Vanda Zakrzewska

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” nr 6/2009](#)